ECHO Z AFRYKI.

Sierpień 1902. Rok X. Nr 8.

Królowo Niebios Maryo, módl się za nieszczęśliwymi Murzynami!



Aby się stali godnymi obietnic Chrystusowych!

Błogosławione przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.

Katolickie miesięczne pismo dla popierania dzieła misyjnego wychodzi w polskim, niemieckim, włoskim, francuskim i czeskim języku. Cena rocznie z pocztą dla Austryi 1 korona 20 halerzy; dla Niemiec 1 mk. 20 fen.; dla krajów związku pocztowego 2 fr. 50 cent.; dla Rosyi 1 rsb.

Adres dla przesyłania prenumeraty i ofiar: Kraków, Starowiślna Nr 3.

W pierwszym dniu i co pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawiać się będzie za żyjących i umarłych prenumeratorów „Echa“ przez Najprzewieleb. X. Biskupa misyjnego w Afryce i przez jednego X. Misyonarza tamże, Msza święta czytana.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISYJ.

OO. Jezuici na Madagaskarze.

Z listu Wielebnego Ojca Beyzyma T. J. pisanego z Tananarywy na Madagaskarze dnia 29 lipca 1901 r. do czcigodnej naszej generalnej Kierowniczki, wyjmujemy następujące szczegóły:

„Ze stokrotnem *Bóg zapłać* donoszę o otrzymaniu kwoty 7.053 franków i 90 centymów dla moich biednych trędowatych. Jakąż pociechę i otuchę wlało mnie i moim chorym to wspaniałomyślne wsparcie ze strony chrześcijańskich braci w Europie w naszem bardziej teraz, niż kiedykolwiek krytycznem położeniu. Ponieważ dotychczasowe budynki naszej stacyi misyjnej dla trędowatych coraz bardziej chylą się ku upadkowi, pragnę więc gorąco zbudować jak najrychlej oddawna już upragnione przytulisko. Mury teraźniejszego kościoła naprzykład są tak porysowane, że lada chwilę możemy zginąć pod gruzami. Zawiadomiłem już o tem naszego czcigodnego Ojca Superiora i prosiłem go, aby w jakikolwiek sposób zaradził złemu.

Bogu dzięki, otrzymaliśmy już na ten cel kilka jałmużn, O. Superior zaś szuka odpowiedniego miejsca na budowę przytuliska, tu bowiem, gdzie obecnie jesteśmy, niepodobna będzie go zbudować z powodu dokuczliwego braku wody, który nam coraz bardziej daje się uczuwać. Znalazłszy odpowiedni kawał gruntu, kupimy go i zaczniemy zgromadzać powoli materyał budowlany. Skoro zaś uda nam się zebrać niezbędną na ten cel kwotę 150.000 franków, natychmiast rozpoczniemy budowę. Przedtem nie mogę zabrać się do tej pracy z rozmaitych przyczyn, a między innemi dlatego, że gdyby tylko pewna część budynku została wzniesioną, to należałoby niezwłocznie do niej się wprowadzić, w przeciwnym bowiem razie, w wilgotnej porze roku uszkodziłyby ją deszcze, ludzie zaś złośliwi, lub lubiący przywłaszczać sobie cudzą własność, dokonaliby dzieła zniszczenia, kradnąc kamienie lub cegły. Drugą przyczyną jest to, że ponieważ muszę sam czuwać nad wszystkiem bez wyjątku, nie mógłbym więc jednocześnie być przy starym i nowym budynku. Najważniejszą atoli przyczyną jest trzecia, a mianowicie, że skoro pewna część przytuliska zostanie zamieszkaną, wówczas nie znajdę już nigdzie robotników do dalszej budowy, każdy bowiem, jak ognia, unika trędowatych. Dalszych przyczyn nie będę już wyliczał, samo bowiem ich czytanie za wiele zabrałoby czasu; to tylko powiem, że jest ich niemało.

Obecnie znieśliśmy do połowy ściany kościoła, który już groził ruiną, nie chcąc zaś, aby moi chorzy byli pozbawionymi Mszy św., zbudowaliśmy dla nich ze trzciny małą prowizoryczną kapliczkę. Nie jest ona bynajmniej podobną do kościoła, ale raczej do betleemskiej stajenki. Załączam fotografię tej kapliczki, aby czytelnicy o prawdzie słów moich dostatecznie mogli się przekonać. Jakżebym pragnął, żeby widok naszej nędzy wzruszył ich serca i zjednał nam hojniejsze jałmużny!

Najuprzejmiej proszę o zbieranie dla mnie ofiar nie w rozmaitych przedmiotach, lecz przeważnie w pieniądzach, w ostatnich bowiem dniach przekonałem się, że posiadam zaledwie trzecią część kapitału, potrzebnego na budowę przytuliska. Jakże wielką byłoby to dla mnie boleścią, a nawet wstydem, gdyby mieszkania trędowatych podobnie, jak kościół, pochyliły się ku upadkowi, w takim bowiem razie nie miałbym gdzie nawet pomieścić tych nieszczęśliwych. Gdybym nawet chciał wznieść dla nich tylko proste szałasy ze trzciny, to i wówczas żaden robotnik nie zechciałby się do nas zbliżyć, sami zaś moi chorzy nie byliby zdolni do tej pracy. Gdyby zaś nawet budowa szałasów żadnych nie przedstawiała trudności, to bądź co bądź pociągnęłoby za sobą pewne koszta, każda bowiem taka chata kosztuje co najmniej około 100 franków. Skoro zaś zacznę wydawać pieniądze na liche, prowizoryczne mieszkania, to biedni moi chorzy nie zdobędą nigdy dla siebie porządnego i wygodnego przytuliska. Jeżeli żebrak lub kaleka od dziesięciu drzwi zostanie odpędzonym, to na jedenastym przynajmniej progu znajdzie może jakąś miłosierną duszę, która się nad nim zlituje i jakiegokolwiek udzieli mu wsparcia, tutaj zaś biedni moi trędowaci nie mają nikogo, ktoby się nad nimi zlitował, wszyscy bowiem boją się ich, unikają i otaczają pogardą.



Prowizoryczna kaplica trędowatych w Ambahiwuraku na Madagaskarze.

Kończąc dzisiejszą odezwę, proszę zarazem o przebaczenie za mimowolną moją natarczywość. Wszyscy też błagamy codziennie Najświętszą Maryę Pannę, aby Was wynagrodziła stokrotnie za wszystko, co dla nas czynicie!"

LIST MISYONARKI ZE ZŁOTEGO WYBRZEŻA,

pisany do Przewielebnej Matki Przełożonej misyj afrykańskich w Lyonie.

Cape-Coast, 5 czerwca 1901 r.

Przewielebna Matko!

Nieustannie uwielbiam Boga za wszystko, co czyni dla dusz, i nigdy dosyć nie będę Go błogosławić za powołanie mnie do współdziałania w pracy tak opromienionej miłosierdziem Zbawiciela. Rzadko bowiem mija dzień, któryby mi nie przyniósł pociechy następującego rodzaju. Pozwól więc Wielebna Matko, bym Ci opowiedziała zdarzenie, w którem dzielić będziesz moją radość i wdzięczność.

Pewnego poranku pielęgnując, jak zwykle, naszych chorych, uczułam nieznośne powietrze; podniosłam głowę i w jednej chwili przejrzałam całą salę, myśląc, że wszedł do niej trędowaty człowiek, lecz nie widząc nikogo, wróciłam do obsłużenia chorych, gdy dziewczynka używana do pomocy, mówi mi: „Siostro, spojrzyj na dziedziniec, zdaje mi się, że widzę tam człowieka obcego." Zwracam się ku stronie wskazanej i sprawdzam, że stamtąd dolatują te nieprzyjemne wyziewy. Człowiek ten bowiem niósł na plecach dziecię umierające; nie mogąc w takim stanie wnieść go do sali, kazałam ułożyć go pod cienistem drzewem i skonstatowałam, że prócz gwałtownej dysenteryi, przystąpiło już zakażenie krwi, wskutek zatruwających afrykańskich lekarstw. Biedny chłopczyk trawiony gorączką, wołał ciągle pić, ziółkami uśmierzającemi pragnienie, udało mi się przedłużyć dogorywające życie, a małą Mary wysłałam po Wielebnego Ojca, by przyszedł ocalić duszę dziecka. Na uczynione zapytanie, czy ojciec pozwoli ochrzcić umierającego syna, nieznajomy odpowiedział:

— Przychodzę z Kumassi, jestem handlarzem gumy, dziecko przyniosłem tu, byście go uzdrowili.

— Mój przyjacielu! — odrzekł Ojciec — tu nie może być mowy o uzdrowieniu; syn twój jest umierający. Czy chcesz, bym go ochrzcił i aby był szczęśliwy na zawsze?

— Co to jest chrzest? — zapytał — jeżeli to jest najdroższe lekarstwo, to trzeba użyć coś tańszego, gdyż ja jestem ubogi.

Ojciec Wiel. starał się wytłómaczyć handlarzowi znaczenie Chrztu św. i często używał wyrazu „Bóg" czyli najwyższa istność i Stworzyciel wszystkiego, co nas otacza. Słowa te trafiły głęboko do serca prawego i prostego człowieka, odrazu je zrozumiał i zawołał: „O tak, Ojcze, udziel chrztu synowi mojemu, bo mam przekonanie, że dla jego dobra czynisz go dzieckiem waszego Boga" — lecz dodał ciszej z westchnieniem i śmiesz-

nym wyrazem twarzy, że nie ma dość pieniędzy, by za to zapłacić. Ojciec Wielebny zapewnił go, że nic nigdy nie żądają od tych, którzy cierpią. A gdy wodą odrodzenia skrapiał główkę umierającego, dziecię wyciągało prawie martwą rękę po napój gaszący pragnienie. Wkońcu nieznajomy zabrał go, wskazując mi miejsce swego tymczasowego mieszkania.

Nazajutrz wraz z moją towarzyszką udałam się do miejsca wskazanego. Lecz już nie było tam dziecięcia, bo Bóg w swej nieskończonej dobroci dla dusz, tak kierował krokami biednego handlarza, aby nam pozwolić zerwać tę duszyczkę dla Nieba! Nieznajomy jest nam bardzo wdzięczny. Mamy nadzieję, że kiedyś stanie się także dzieckiem dobrego Boga!...

Siostra Marya Egipcyanka, zakonnica misyonarka.

Oblaci św. Franciszka Salezego.

Sprawozdanie z misyj dotkniętych klęskami z powodu wojny.

Troyes, 28 lipca 1901 r.

Czcigodna Pani Generalna Kierowniczko!

Pozwól mi Pani wyrazić wdzięczność, jaką winniśmy dziełu Twemu za pomoc i względy, które cenimy z każdym dniem więcej. Między misyami wspieranemi, ta z nad rzeki Orange, zdaje mi się dzieckiem wybranem, bo też jest wielce zajmująca. Może mili czytelnicy „Echa“ zechcą coś o niej wiedzieć. Bardzo ciężko nawiedzana ostatniemi czasy przez posuchy i głód, misya ta przechodzi obecnie wszystkie smutne następstwa wojny w Transwaalu — i oto co pisze dnia 25 kwietnia Siostra Marya Franciszka, przełożona stacyi Pella:

Boerowie dziś o godzinie 3-ej rozłożyli tu swój obóz; rabowali wagony, niszczyli chaty; mieszkańcy wystraszeni pouciekali do pustyń, miasto zostało wyludnione; a gdy proponowano Msgr. Simon'owi, by opuścił stacyę Pella, odgadnie Czcigodna Pani odpowiedź naszego dzielnego biskupa i Jego dzieci: „Raczej poddać się wszelkim cierpieniom, niżeli opuścić nasz posterunek i biedne dusze powierzone pieczy naszej!“ Nie brak też było tych cierpień; Msgr. Simon pierwszy opłacił je ciężką chorobą. Jedna z naszych Sióstr wracając do Pella, skąd była wyjechała na czas jakiś, spotkała żołnierza angielskiego śmiertelnie rannego, opatrzyła ranę biednego człowieka, miała pociechę mówić mu o Bogu, przygotować go na śmierć i być przy nim do ostatniej chwili. Trudno sobie wyobrazić, dokąd dochodzą okrucieństwa w czasie wojny — i oto znów wiadomość z dnia 3-go maja.

Wczoraj od godziny 4-tej miasto było otoczone 60-ma Boerami uzbrojonymi i grożącymi śmiercią, ktokolwiek śmiałby wyjść z domu. Uwięzili policyanta i trzech lampiarzy angielskich; obchodzili się z nimi najokrutniej. Inni rabowali Hottentotów, grozili nawet spaleniem misyi, i nie ba-

cząc na przemówienie pełne godności Msgr. Simon'a, zabrali nam większą część zboża. Oto sceny, których jesteśmy świadkami i ofiarami — i dlaczego błagamy o pomoc i polecamy się waszym modlitwom. Przeciwnie z Hieragabies, nowej stacyi Namaqualandu, misyonarze nasi pełni nadziei na przyszłość, dziś już cieszą się najlepszymi rezultatami swej pracy. Ta kochana część misyi w Afryce, jest ofiarowana Matce Bożej Dobrej Rady. Dnia 26 kwietnia, jako w dzień Jej uroczystości, siedmnaście osób przystąpiło do Chrztu św. Kapliczka nasza zapełniła się, i odkąd wspaniałomyślność naszych dobroczyńców obdarza nas hojnie odzieżą dla dzieci, Siostry nasze radują się ich opieką na przyszłość.

Bardzo są tu zajmujące ceremonie religijne. Pobożny lud z oczyma zwróconemi na Ojca Malinowskiego, przełożonego stacyi, naśladują z największą dokładnością każde jego poruszenie w czasie Mszy św., i gdy Ojciec odwraca się dla udzielenia im błogosławieństwa, widzi wszystkich obecnych z podniesionemi rękoma, jakoby mu także błogosławić chcieli; wywołuje to niekiedy wesołość, która pewno nie obraża dobrego Boga!

Hieragabies przedstawia małe źródło z przemysłu gumą arabską, który przecież stanowić może pewne bogactwo w kraju ubogim i być małą pomocą wobec wielkiej nędzy.

Nie mówiliśmy jeszcze o stacyi Matyeskloof około Springbock, która także wiele ucierpiała z powodu wojny, a przedewszystkiem srogo dotkniętą została nagłą śmiercią Wiel. Ojca Cure, nieodżałowanego apostoła. Żniwo jest wielkie, oby Bóg zesłał pracowników!

Nie zawadzi dodać, że nowo ochrzczeni chrześcijanie uczą się przedewszystkiem modlić za swych dobrodziejów i modlitwy ich są pewno dobrze przyjęte przez Tego, który nie zostawia bez nagrody szklanki wody, podanej w imię miłości bliźniego.

Skoro wypadło mi być tłómaczem uczuć wdzięczności naszych misyonarzy, szczególniej zaś Wiel. Ojca Parisson'a i Matki Generalnej, jakoteż całej religijnej rodziny naszej, niech mi będzie wolno załączyć wyrazy czci z jaką zostaję.

Oddana sługa w Panu *Siostra Augustyna de Cuverville.*

Siostry misyjne z Mariannhill.

Pociechy i cierpienia w misyonarskiem powołaniu.

Mariannhill, 20 stycznia 1901 r.

Czcigodna Pani Generalna Kierowniczko!

Dziecięca miłość skłania mnie do przesłania Czcigodnej Pani trochę wieści z dalekiej Afryki. Niewiele wiem wprawdzie, bo jeszcze mało z Kaframi mam do czynienia, lecz widzę niektóre nowe zupełnie rzeczy, a chociaż nie biorę jeszcze bezpośrednio udziału w misyjnej działalności, spostrzegam jednak coraz bardziej, jak szerokie pole pracy leży tu jeszcze odłogiem. Tembardziej więc trzeba za pomocą modlitwy i pracy przyczy-



SIOSTRY MISYJNE Z MARIANNHILL.
(Trzy dawne kandydatki misyjne z „Maria Sorg“).
S. M. Ernestyna, S. M. Józefina, S. M. Thesselina.

niać się do zbawienia dusz. Cieszę się zawsze, gdy widzę, ile ta misya zrobiła już dobrego i nabieram otuchy przypatrując się zdaleka w niedzielę kafryjskim neofitom, których liczne gromadki w europejskim stroju spieszą do kościoła. Mogliby oni służyć zaiste za przykład wielu europejskim chrześcijanom. Jakże bolesnym natomiast jest fakt, że jeszcze w pobliżu nas mieszka tylu biednych pogan, których dusza pogrążoną jest w ciemnościach i cieniach śmierci, ciało zaś za całą odzież ma lichą szmatę, okrywającą biodra i ramiona.

W uroczystość świętych Trzech Króli, dziesięcioro kafryjskich dzieci otrzymało Chrzest św. Na Boże Narodzenie zaś pewna bardzo nieszczęśliwa, ułomna dziewczynka, kształcąca się w naszej szkole, przystąpiła po raz pierwszy do stołu Pańskiego. Podczas wzniosłej tej uroczystości wielka pomiędzy dziećmi zapanowała radość, gdy ujrzały mnóstwo ślicznych rzeczy, przysłanych im przez Dzieciątko Jezus. Z pewnością też popłynęło ku niebu niejedno „Zdrowaś Marya“ za dobroczyńców w dalekiej Europie, bo Dzieciątko Jezus w Afryce jest tak ubogie, że nic nie mogłoby im przynieść, gdyby w Europie nie było litościwych serc, które o tem corocznie pamiętają. Wielką też dziatwie sprawiło przyjemność przybycie Sióstr, które podziwiały kolejno wszystkie podarunki. Dzieci tutejsze wydają mi się wogóle daleko milszemi i sympatyczniejszemi, niż europejskie; czarne ich twarzyczki tchną taką niewinnością i serdecznością, że mimowoli chwytają za serce. Myślę też, że nie powinni mi tu przełożeni powierzać opieki nad dziatwą, bo zupełnie ją rozpieszczę.

Mamy tu teraz lato, co mi się wydaje nader dziwnem, gdyż obchodziliśmy właśnie uroczystość Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Dokucza nam ciągły upał, wywołujący tak silne poty, że nawet miejsce, gdzie klęczymy w kościele, bywa zwykle zupełnie mokrem. Od czasu do czasu jednak miewamy chłodniejsze nieco dni, gdyż niekiedy Pan Bóg zsyła nam dobroczynne deszcze. Wówczas powietrze się ochładza, w ogrodzie zaś, dzięki wilgoci, wszystko prześlicznie się rozwija. Winnica dotąd wyglądała prześlicznie i winogrona nawet zaczęły już dojrzewać. Byłyśmy tam wczoraj jeszcze, dnia 19 stycznia i cieszyłyśmy się widokiem ślicznych, ogromnych jagód, gdy nagle około szóstej godziny wieczorem zerwała się burza, połączona z gradem, który zniszczył wszystko. Teraz wszystkie ścieżki pokryte są liśćmi, jak gdyby odbyć się miała procesya z Przenajświętszym Sakramentem, winnica zaś uległa zupełnemu spustoszeniu, większa bowiem część winogron opadła, te zaś, które pozostały, prawdopodobnie zgniją. Radość więc nasza zamieniła się w smutek, ale pomimo tego nie zniechęcamy się bynajmniej, powtarzając tylko ciągle: „Pan dał, Pan wziął, niech Imię Jego będzie błogosławionem!“ Zresztą tutaj na nic wogóle niepodobna rachować, w całym bowiem kraju jest tyle rozmaitych szkodliwych owadów, że dopiero po zebraniu plonu można być pewnym, że się go posiada. Tak się też stało i na Boże Narodzenie, gdy brzoskwinie zaczęły dojrzewać, należy zaś dodać, że są to jedyne europejskie owoce, dające się tutaj zaaklimatyzować. Otóż pewnego razu, na wszystkich drzewach spostrzeżono dziwne jakieś motyle, których tu dotąd nigdy nie widziano. Były one wielkości białych europejskich motyli, ale ciemno-

brunatne i opatrzone długiemi na 1 centymetr i cieniutkiemi, jak najcieńsza igła, żądłami, które zapuszczały w głąb owocu, aby go wysysać. Motyli tych takie roje snuły się w ogrodzie, że niepodobna było prawie przechadzać się pod drzewami. Mnóstwo tych owadów wdzierało się także do mieszkania, na Boże Narodzenie zaś latały one po kaplicy, zwłaszcza dokoła ołtarza, na którym stały kwiaty i płonęły świece. Drzewa były jakby pokryte czarnymi owocami, na każdej bowiem brzoskwini siedziało po kilka lub kilkanaście motyli, tak, że nic dziwnego, iż z owoców nie pozostało ani śladu. Wprawdzie zerwałyśmy dużo zielonych jeszcze brzoskwiń, aby je zabezpieczyć od zniszczenia, ale i one po większej części zgniły. Pokładamy wszakże całą ufność w Bogu i wiemy, że On nam wszystkie straty powetować dozwoli.

Powołanie moje uszczęśliwia mnie nad wszelki wyraz, zdrowie zaś nieźle mi służy. Miałam wprawdzie febrę afrykańską, lecz to nic nie szkodzi. Trzeba tylko umieć przezwyciężyć się na każdym kroku, a wszystko pójdzie dobrze.

Pozdrawiając najserdeczniej Czcigodną Panią, pozostaję w Najświętszem Sercu Pana Jezusa Jej wdzięczną sługą.

Siostra Marya Józefina.

ROZMAITOŚCI.

Wikaryat apostolski Afryki środkowej. Jeden z zamiejscowych członków naszej Sodalicyi, X. J. Kandler, kapłan świecki, podczas swej podróży do Afryki, pisał do nas stamtąd dnia 8 grudnia 1901 r. co następuje:

„Na kilka godzin przed wyruszeniem w podróż morską, mogłem się poświęcić misyom afrykańskim, gdyż miałem szczęście zostać przyjętym na zamiejscowego członka naszej Sodalicyi, wkrótce zaś potem pozwolił mi Zbawiciel nietylko oglądać, ale nawet odczuwać pociechy i spokój dusz misyonarzy. Niech więc będzie mi wolno donieść o tem słów kilka.

Nader przyjemna żegluga z Tryestu do Aleksandryi, piękność przyrody na dolinie Nilu, starożytne pomniki i zabytki w krainie faraonów, czcigodne szczątki chrześcijańskiej starożytności, tudzież pełne gwaru życie wschodnie ze swemi dodatniemi i ujemnemi stronami, wywarły na moim umyśle bardzo silne i głębokie wrażenie. Nie o tem jednak chcę tutaj pisać, ale o wzniosłym obchodzie uroczystości Niepokalanego Poczęcia, w którym wkrótce po mojem przybyciu wziąłem udział w nowej tutejszej katedrze. Jak wiadomo, Assuan jest obecnie rezydencyą wikaryusza apostolskiego środkowej Afryki, X. Biskupa Roveggio z kongregacyi synów Najśw. Serca Pana Jezusa. Chociaż gorliwy ten Biskup misyjny zajęty jest obecnie zakładaniem nowych stacyj nad górnym Nilem, pomimo jego nieobecności jednak piękna ta uroczystość była wspaniale obchodzoną.

Nietylko całe to rozległe terrytoryum misyjne, ale także i nowa katedra poświęconą została na cześć niepokalanie poczętej Bogarodzicy.

Obchodziliśmy więc podwójną jakby uroczystość. Nadto podczas sumy parę kafryjskich dziewcząt przyjęło pierwszą Komunię św. Siostry misyjne, znane pod nazwą *Pie Madri della Nigrizzia*, to jest pobożnych Matek Nigrycyi czyli Sudanu, ubrały te dzieci w białe sukienki, z któremi ciemne ich twarze tem większy tworzyły kontrast. Na jałowym tutejszym gruncie pod względem religijnym, chrzest osób dorosłych do nader rzadkich, należy wypadków. Tem więcej się przeto ucieszyłem, że przybyłem właśnie w wigilię dnia, w którym 15-letni katechumen murzyński, Ali Saied, miał otrzymać odradzający ten Sakrament. Rozrzewniającym był widok młodego tego murzyna, ubranego biało, który w języku arabskim śmiało wyznawał swą wiarę, wyrzekał się szatana, na zapytanie zaś: „Czy chcesz być ochrzczonym?" — głośno zawołał: „Tak, chcę!" Superior O. Bendinelli udzielił wówczas Alemu oddawna upragnionego Chrztu św. i dał mu imię Piotra. Neofita mówi już trochę po włosku i z radością wyznał mi po Chrzcie św., że się czuje nadzwyczajnie szczęśliwym. Oby wytrwał w tej prawdziwej wierze, którą znalazł po pełnem przygód i cierpień dzieciństwie!"

Amerykańscy murzyni w Afryce. Z rozmaitych stron dochodzą nas pogłoski o próbach przeniesienia amerykańskich murzynów do Afryki, jako pierwotnej ich ojczyzny. O wynikach tego przedsięwzięcia zdania są bardzo podzielone. Murzyni z Kuby i Stanów Zjednoczonych przynieśliby bezwątpienia do Afryki znaczny postęp w rolnictwie, ale zarazem byliby także koryfeuszami nowej cywilizacyi, niezbyt zdrowej dla ras afrykańskich, a mianowicie takiej, jaką się odznaczają kubańscy rewolucyoniści i metysi w Stanach Zjednoczonych.

Osadnicy angielscy sprowadzili już do rozmaitych kolonij murzynów ze Stanów Zjednoczonych, aby rozwinąć na szerszą skalę uprawę bawełny, na której ci ludzie wybornie się znają. Również i Niemcy starali się zwerbować w Ameryce murzyńskich rolników do Togo i Kamerunu. Z drugiej strony zasługuje także na wzmiankę postępowanie niektórych Amerykanów, którzy swych dawnych niewolników wysyłają ciągle do Liberyi.

W dalszym rozwoju tej samej idei, zdarzył się obecnie fakt nader ciekawy. Pewien murzyn z Antyllów angielskich, Wilhelm Jerzy Emanuel, udał się do Antwerpii, aby na dworze króla niezawisłego państwa Kongo, wystąpić w roli przedstawiciela 18.000 kubańskich murzynów, którzy jako potomkowie dawnych niewolników, wywiezionych z Kongo przez Hiszpanów, obecnie wolni i nieprzychylni amerykańskiemu rządowi, pragną wrócić do pierwotnej afrykańskiej swej ojczyzny, z której ich przodkowie przemocą zostali wywiezieni. Panu Emanuelowi towarzyszyło czterech jego rodaków, którzy popłynęli do Kongo jakby na zwiady i przekonawszy się o tamtejszych warunkach egzystencyi, postanowili z żonami i dziećmi jak najrychlej tam się przesiedlić.

Podług opowiadania p. Emanuela, posiadłości jego ziomków ocenione są na milion dolarów, kwota więc otrzymana z ich sprzedaży, wystarczyłaby na pokrycie kosztów podróży i osiedlenia się na afrykańskim gruncie.

Zdaje się jednak, że pan Emanuel nie doznał zbyt uprzejmego przyjęcia ze strony władz rządowych w Kongo, które mając już nieraz do czy-

nienia z kubańskimi murzynami, niekorzystne o nich wyrobiły sobie pojęcie. Krąży atoli pogłoska, że pewne towarzystwo francuskie z Sanglii, któremu brak sił roboczych bardzo się daje uczuwać, zawarło z panem Emanuelem umowę, na mocy której 500 murzynów ma się przesiedlić z Kuby na wyznaczone dla nich grunta. Należy się spodziewać, że władze rządowe nie pozwolą tym przybyszom uciemiężać krajowców pod pozorem swojej cywilizacyjnej wyższości i rozkrzewiać w Afryce wolnomyślne idee, które już południowo-amerykańskim rzeczpospolitym tak wielką wyrządziły szkodę.

(Société antiesclavagiste de France).

KRONIKA SODALICYI Św. PIOTRA KLAWERA.

Z dziennika naszej Generalnej Kierowniczki.

Rzym. *Dnia 8 maja.* — Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Od trzech dni bawi tutaj pielgrzymka z Tunisu. Dziś przed południem ku wielkiej naszej radości odwiedził nas kierownik tej pielgrzymki X. Arcybiskup Combes, prymas Afryki, a zarazem arcybiskup Kartaginy i Tunisu. Towarzyszył mu tak życzliwy dla nas prokurator OO. Białych w Rzymie, O. Burtin. Jako następca kardynała Lavigerie, X. Arcybiskup pragnął, jak mówił, udzielić nam szczególnego błogosławieństwa dla tem pomyślniejszego rozwoju Sodalicyi, działającej tak dalece w myśl jego poprzednika. Z wielką więc radością i pociechą przyjęliśmy to błogosławieństwo, które jakby wprost z nieba na nas spłynęło.

Dnia 11 maja, sobota. Dziś po raz pierwszy mogłam odwiedzić Jego Eminencyę kardynała Ledóchowskiego, po ciężkiej jego chorobie. Czekał na mnie w swym gabinecie, siedząc na fotelu, niezwykła zaś bladość jego twarzy zdradzała przebycie nader ciężkiej choroby. „Eh bien, j'ai encore échappé pour cette fois — rzekł do mnie z uśmiechem — c'est presque un miracle.“ Rzeczywiście jest to cud, który przypisać należy tylko niezliczonym i gorącym modlitwom o zachowanie tak drogiego życia!

Dnia 24 maja, sobota. Dziś miały miejsce odwiedziny O. Antoniego de Santa Maria, generalnego Definitora Franciszkanów i Rektora wielkiego kolegium św. Antoniego na via Merulana. Kapłan ten, całem sercem kochający biednych murzynów, założył dla nich stacyę misyjną w Beirze (Mozambik). Zostawszy zaś wezwanym do Rzymu na generalnego Definitora swego zakonu, znalazł po sobie następcę w belgijskim swym współbracie, O. Wincentym Dory, który ma już niebawem odpłynąć do Beiry. Przedstawił się on nam, aby polecić swą misyę względom Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Dnia 26 maja, poniedziałek. Odwiedziny Wiel. O. Adamsa O. S. B., jadącego obecnie z Daressalam do Niemiec.

Wiedeń. Dnia 11 maja urządziliśmy w sali magistratu gminy „auf der Wieden“ odczyt, połączony z pokazywaniem obrazów świetlnych. Prałat Dr Fischer-Colbrie powitał nader licznie zebraną publiczność, i w przekonywający sposób przedstawił konieczną potrzebę wspierania misyj afrykańskich, zmuszonych walczyć z muzułmanizmem, który coraz dalej się przedziera. Następnie jedna z najgorliwszych zelatorek, panna Bahr, zadeklamowała po niemiecku wiersz: „Nie zapominajcie o misyonarzach“, poczem prof. Engel w dłuższym odczycie naszkicował życie św. Piotra Klawera, apostoła murzyńskich niewolników, pod którego opieką nie napróżno Sodalicya rozwija swą działalność. Na zakończenie pokazywano obecnym obrazy świetlne, tłómacząc obszernie ich znaczenie.

Tryest. Jak w kwietniu, tak też i w maju kilkakrotnie w naszej stacyi odbywały się odczyty misyjne, illustrowane za każdym razem obrazami świetlnemi. Pierwsze z tych odczytów odbyły się dnia 3 i 5 maja.

Dnia 25 maja, w niedzielę, zorganizowano w Circolo S. Giusto uroczysty obchód na cześć Ojca św. Pięknie przyozdobiona sala zapełniła się licznymi gośćmi. Zebranie zagaił kilkoma słowy X. Dr Mioni, poczem O. Pauli wygłosił śliczną przemowę o Ojcu św. i Sodalicyi św. Piotra Klawera. — Śpiew dwóch znakomitych śpiewaków, muzyka wybornej orkiestry, a wreszcie deklamacya pięknego wiersza przez pewną młodą panienkę, uzupełniły ten obchód, który w sercach wszystkich uczestników nader miłe pozostawił wspomnienie.

Dnia 1 czerwca odbyło się przedstawienie afrykańskich świetlnych naszych obrazów u Salezyanów w obecności około 600 chłopaków. Objaśnienia treści obrazów podjął się X. Dr Mioni, młodzi zaś widzowie słuchali słów jego z natężoną uwagą. Kilkakrotnie też pokazywano te obrazy w lokalu naszej stacyi.

Wykaz datków znajduje się na 2. stronie okładki.

Zamknięcie redakcyi 20. lipca 1902.

Za wydawnictwo i redakcyę odpowiedzialny: Jan Kluczycki.

W Krakowie. Czcionkami drukarni »Czasu.«